



STANISŁAW MAJDAŃSKI

**WYRWANE Z PAMIĘCI MAŁEGO ZESŁAŃCA (1940–1946).****ŚWIADECTWO PO LATACH**

(OPRACOWAŁ EUGENIUSZ NIEBELSKI)

*Dr. Stanisława Majdańskiego, filozofa, poznałem przed laty na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, sam tam pracując jako historyk. Kiedyś byłem na jego wykładzie-wspomnieniu o zsyłce na Sybir w latach II wojny światowej — był wtedy dzieckiem. Ten mocny, wysoki człowiek mówił o wydarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat z ogromnym wzruszeniem, momentami prawie z płaczem, poruszając również tych, którzy go słuchali. Także wtedy i później dowiedziałem się, że na Uczelni jest jeszcze trzech jemu podobnych — z syberyjskimi losami dzieci pognanych z rodzinami przez bolszewików do krainy zimna i głodu. To byli historyk Czesław Bloch, psycholog Czesław Walesa i klasyk Henryk Podbielski<sup>1</sup>. Zorganizowałem swojego czasu sesję popularno-naukową (wraz z kołem naukowym studentów historii) na temat Syberii i polskich zesłań w XIX–XX w. Prof. Bloch już nie żył; wystąpili pozostali — i znów piszący ten tekst i całe gremium słuchaczy doznawało podobnych wzruszeń jak wcześniej. Zrodził się wtedy pomysł, by wspomnienia tych KUL-owskich Sybiraków (o Blochu miała napisać jego żona) wydać w osobnej książce. Z powodu obiektywnych przyczyn, o których trudno tu pisać, rzecz upadła. Gdy jednakże w 2023 roku zmarł dr Majdański, a w następnym Czesław Walesa<sup>2</sup>, postanowiłem, że wydam co wcześniej otrzymałem.*

*Świadectwo prezentowane poniżej to pamięć małego zesłańca oraz opowieść i refleksje dorosłego już człowieka.*

*Żona pana Stanisława — pani Kazimiera Majdańska — powiadomiła mnie ostatnio, że była jeszcze jedna osoba na KUL: zesłanka jako*

<sup>1</sup> O każdym z nich zob. na stronach KUL oraz w Wikipedii.

<sup>2</sup> W 2020 roku Czesław Walesa opublikował swoje wspomnienie na UP JP II (dostępne w Internecie).

*dziecko, podobnie jak wymienieni panowie — Helena Mańkowska.  
W latach 1952–1982 pracownica (kustosz) Biblioteki Uniwersyteckiej.*

Eugeniusz Niebelski

\*\*\*

Matce mojej i tym wszystkim,  
dzięki którym przeżyłem

Urodziłem się na Kujawach, we Włocławku, 8 maja 1935 roku. Przyniosłem sobie imię Stanisław. Ojciec Walenty, z zawodu nauczyciel, pełnił wtedy funkcję sekretarza generalnego Katolickiego Związku Młodzieży (męskiej) w diecezji włocławskiej. Od bardzo młodych lat uczył w stronach rodzinnych, w okolicach Kalisza, skąd w 1932 roku władze oświatowe przeniosły go na Polesie. Tam poznał mamę i rodzice pobrali się: żona Regina Nita była córką leśnika. Ojciec miał talent pedagogiczny i duży wpływ na młodzież, zwłaszcza religijno-moralny i patriotyczny. W swej działalności nawiązywał do wzorów w duchu epoki, lecz czynił to oryginalnie, zarówno w pisarstwie, malarstwie, jak i w pracy kulturalno-społecznej nad podniesieniem ideowym wsi. Pisał i wystawiał sztuki na wsi, zbierał materiały etnograficzne, uczył sportu, współpracował z duchownymi. W swoich stronach, w Wielkopolsce, osobiście znał ks. prał. Wacława Bliźnińskiego (twórcę wzorcowej wsi Lisków<sup>3</sup>), we Włocławku spotkał ks. Stefana Wyszyńskiego, na Polesiu Marię Rodziewiczównę.

Niedługo po moim urodzeniu rodzice przenieśli się w okolice Warszawy, a następnie do Warszawy, gdzie ojciec zwolniony z pracy nauczycielskiej, ze względu na stan zdrowia, pracował jeszcze w prywatnej szkole św. Stanisława, lecz głównie kontynuował swą publicystykę, skupiając się na tematyce religijno-moralnej i rodzinno-demograficznej. Rodzice obracali się w kręgu inteligencji (około)warszawskiej: nauczycieli, literatów, ludzi sztuki, ekonomistów, prawników, społeczników, księży (J. Dobraczyński, K.I. Gałczyński, S. Piasecki, Z. Kossak, Z. Trzcńska-Kamińska, ks. E. Detkens, ks. E. Szwejnic; wówczas też ojciec nawiązał współpracę z Niepokala-

<sup>3</sup> Lisków — wieś koło Kalisza, w której w 1900 roku rozpoczął pracę ks. Wacław Bliźniński, znany działacz społeczny i polityk ludowy, poseł i senator (II Rzeczpospolitej), spółdzielca; utworzył w Liskowie m.in.: czytelnię, spółdzielnię rolniczo-handlową, szkoły zawodowe, gimnazjum, kasę kredytową, ochronki, sierociniec, Dom Ludowy, łaźnię, pralnię, warsztaty rzemieślnicze, ośrodek zdrowia, dwie wystawy krajowe itp.

nowem, z o. Maksymilianem Kolbe). Mama głównie zajmowała się domem i małymi dziećmi: prócz mnie, młodszym bratem Janem Władysławem i malutką Elżunią Dąbrówką. Z tego czasu pamiętam wynajmowany przez nas domek z ogródkiem w Wawrze, podróż z moim ojcem samochodem przyjaciół do Gdyni, nawet moją samodzielną „wyprawę” do sklepu po jajko.

Przerwała to wszystko wojna. Pamiętam zgromadzone w naszej spiżarni zapasy żywności i wystawione przez sąsiadów na ulicę radio, nadające głośno niepokojące komunikaty. Robiło się niebezpiecznie i rodzice postanowili, że udamy się na Polesie do dziadków. Po drodze spotykaliśmy cofające się polskie oddziały. Ludzie przyjmowali nas gościnnie — pamiętam nocleg w stodole oraz miód wprost z pasieki i mleko. Po dowiezieniu nas na miejsce ojciec wrócił do bombardowanej Warszawy (tam był jego ojciec i sprawy).

Zamieszkaliśmy u dziadków, w miłym domku z ogródkiem w miejscowości Dywin<sup>4</sup>. Było tam pięknie, kiedyś była nawet oswojona sarna. Pamiętam piec chlebowy i zapach wypiekanego przez babcię chleba. Było nas wtedy dziewięcioro: dziadkowie (Stanisław i Józefa), 19-letnia siostra mamy (Marianna Leokadia), 16-letni brat mamy (Tadeusz), sędziwa prababcia (Marcjanna) i nasza czwórka — mama z trójką dzieci. Pozostali dwaj bracia mamy opuścili już dom. Już 17. lub 18. września dotarli do nas bolszewicy, ale zostawili nas w spokoju. Dziadek wtedy zastępował leśniczego, który wcześniej uszedł. Niedługo po „wyborach” staliśmy się Białorusią Zachodnią<sup>5</sup>.

\* \* \*

10 lutego 1940 roku, ciemnym rankiem, otoczono nasz dom: władze lokalne, NKWD<sup>6</sup> i „krasnoarmiejcy”. Do dziś pamiętam, jak weszli bezceremonialnie, zrywając zasłonę w drzwiach oddzielającą sienię od kuchni, czy kuchnię od reszty domu. Odczytali nam oświadczenie władz i kazali zbierać się do stojących przed domem sań. Pamiętam rozterkę mamy. Niewiele można było wziąć w tak krótkim cza-

<sup>4</sup> Dywin — niegdyś miasteczko, później wieś, w 1939 roku woj. poleskie.

<sup>5</sup> Chodzi o północno-wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej, które — jako Zachodnia Białoruś — po pakcie Ribbentrop-Mołotow z 17 września 1939 roku znalazły się we władaniu Rosji sowieckiej.

<sup>6</sup> NKWD — Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR powstały w 1917 roku, centralny organ państwowy, aparat represji policyjnych, m.in. tworzący system obozów Gułagu.

się, a przecież miała trójkę małych dzieci, starszych rodziców i leciwą babcię. Nie wiedziała co robić, ale była dzielna. Na mamy pytanie, dokąd nas zabierają, młody żołnierz powiedział: „w odno malieńko-je miestieczko”<sup>7</sup>. Zabrano nas wszystkich na sanie i skoncentrowano z innymi w szkole, a potem zawieziono na stację.

Wśród wyznaczonych na zesłanie byli tylko Polacy (była też chyba jedna zasymilowana rodzina żydowska). Ulokowano nas w brązowo-czerwonych wagonach towarowych, a gdzieś na polsko-sowieckiej granicy przeładowano do właściwego zesłańczego „eszelonu”, złożonego z szarozielonych wagonów. Były to typowe, przeznaczone dla „zsylnych” „tiepluszki”. Po obu stronach przesuwanych drzwi wagonu były umieszczone nary. Myśmy dostali miejsce na lewo od wejścia, na górnych narach, wszyscy razem, ściśnięci jak śledzie (było bardzo ciasno, ale ciepły). Najbardziej zagrożona była prababcia i malutka Elżunia — starano się je specjalnie chronić. Od czasu do czasu otwierały się zaryglowane drzwi, dla kontroli i dostarczenia gorącej wody („kapiatok”) oraz czegoś do jedzenia — pamiętam zupę pomidorową z makaronem w wiadrze. W wagonie był piecyk żelazny („koza”), który w tym mrozie niewiele ogrzewał (już w Dywinie było poniżej 30 stopni, a jechaliśmy na północ), a niedaleko niego dziura sanitarna w podłodze.

Mama bardzo bała się o Elżunię, ale to prababcia tych warunków nie wytrzymała i zmarła w okolicach Wołogdy. Pamiętam to. Rano weszła „inspekcja” i naszą prababcię wyrzucono z wagonu na śnieg. Mama krzyczała, prosiła, by ją pochowano. Odpowiedziano: a jakże, czy coś w tym rodzaju. Eszelon niewzruszenie podążał dalej. Niedawno dowiedziałem się, że prababci w ogóle w spisie zesłańców nie ma, z jakichś powodów lub bez nich, jakby nie istniała. Kto uwierzy mojemu świadectwu?

Po 17 dniach, 27 lutego 1940 roku, transport dotarł do posesiołka Wodopad (oddalonego około 125 km od Archangielska, w rejonie Plesieckim), miejsca naszego przeznaczenia, jako „spiecpieresielenców”, na „wieczną zsyłkę”. Jest to miejsce, drugie to Kieńga, skądinąd urocze, przy dwu rzeczkach — jedna z nich to Wajmuga — które się tu łączą, płynąc dalej ku Dźwinie (północnej) — taka jest jej spolszczona nazwa, nie Dwina! Nas zakwaterowano w baraku numer 18, było tam bardzo ciasno [...]. Wodopad to dla miejscowych, „Siewierian”, kolchoz. Tym posesiołkiem, jako zespołem baraków dla Polaków zesłańców zarządzał komendant NKWD, nazywał się Korolow lub

<sup>7</sup> „w jakiś (miły) maleńki zakątek”.

Korolenko, jego zastępcą był Pałkin — symboliczne nazwisko! Miejscowi odnosili się do nas różnie: obojętnie, współczująco (też dawni zesłańcy?), albo wrogo: „Polaczki tu zostaniecie, tu zdechniecie, do Polski pańskiej nie wróćcie”.

Wszystkich nadających się do pracy (od 15. roku życia), głównie pracy w lesie natychmiast do niej skierowano. Mamę wyznaczono na drwala i wysłano daleko. Ofiarnie, co pewien czas, na króciutko nas odwiedzała, wędrując nocą w jedną stronę i w następną do pracy. Dostawaliśmy swój dzienny „pajok” i z miejscowej stołówki trochę mącznej polewki, coraz bardziej wodnistej, bo okradanej przez kucharki; raz zamiast jakichś dodatków znalazłem w zupie pluskwy. Normy pracy były duże, a zarobki małe. Do czasu wojny niemiecko-sowieckiej można było coś kupić w miejscowym magazynie, nie było tylko za co. Kto jeszcze miał jakieś rzeczy zabrane z Polski sprzedawał je za pół darmo i jakoś żył. Mojemu ojcu udało się nawet przesłać nam okólną drogą kilka paczek, dochodziło też trochę listów: Niemcy cenzurowali je zamalowując „niestosowne” fragmenty czarnym tuszem, a NKWD je wycinało. Nasz dziadek bardzo opadał z sił i po paru zaledwie miesiącach, w listopadzie 1940 roku zmarł. Przed śmiercią zdołał zrobić z drzewa kilka sprzętów domowych, a dla nas sanki i narty.

W codziennym życiu na posiołku bardzo pomagała nam babcia. Potrafiła nawet zebrać w lesie sporo jagód i grzybów, których było tam w bród, choć zesłańcom nie wolno było chodzić do lasu. Na zimę trzymano je w beczkach (ale nie można było wyłącznie się nimi odżywiać, bo zgłodniały żołądek tego nie wytrzymał). Raz komendant kontrolując posiołek, nie zastał babci w domu i zapytał mnie, gdzie ona jest. Odpowiedziałem bez namysłu: poszła nad rzekę prać bieliznę. W rzece było dużo ryb, ale kto z nas mógł je łowić? Czasem próbowaliśmy je łapać na haczyki nieudolnie robione z drutu. Latem miejscowi chłopcy łapali pstrągowate i potem suszyli je na sznurkach, czasem nas nimi częstowali.

Z wybuchem wojny zaostrzyły się na posiołku ogólne warunki życia i wnet wielki głód dotknął Polaków. Próbowaliśmy jeść pieczone łupiny kartofli, ale były gorzkie i paliły w buzi. Gotowaliśmy zupę z lebiody, na niczym, nie zaprawianą, ale nie dawało się jej doprawdy przelknąć, była w smaku „dzika”, „surowa” i na przysłowiowym „gwoździu”. My chłopcy chodziliśmy na łąki i szukaliśmy szczawiu. Raz Tadeuszowi udało się odrąbać siekierą kawałek końskiej padliny (gdy chorego konia, który padł na zarazę wieziono, by go zakopać). Gotowaliśmy to mięso wiele godzin i ze strachem zjedliśmy. Jednak

nic się nie stało. Z głodu bolały nas kolana. W nocy nie można było spać, bo dokuczały dotkliwie pluskwy. Dla obrony przed nimi wstawiano nogi prycz do pojemników z wodą, ale to nic nie dawało, bo spadały na nas z powały. Gryzły wszy, pełno było karakanów (skąd się brały w tym zimnie, przy braku jedzenia?), dokuczał świerz. Mama i mój brat Jasiek zachorowali na kurzą ślepotę, wszystkim zagrażał szkorbut i dyzenteria.

Mimo wszystko nasze życie jakoś biegło. Mama zawsze potrafiła dodać nam otuchy. My chłopcy rozumieliśmy spontanicznie co się dzieje i byliśmy solidarni w tej naszej wspólnej niedoli, w rodzinie i w ogóle wśród Polaków. Każdy próbował robić co mógł, by ulżyć sobie i innym. Ja zająłem się przygotowaniem łuczywa, na podpałkę i do oświetlenia izby. Łupałem płaskie szczapki, splatałem w kwadrat i suszyłem przy piecu. Nawet posiałem koper na ziemnym obwałowaniu baraku — skąd były nasiona, nie pamiętam. W pobliżu nas rosły kartofle, ale należały do kolchozu i nie wolno było nawet zbliżać się do nich. Sadzono je też wczesną wiosną w pobliżu lasu, na wyrębach. Do dziś widzę snujące się dymy ognisk chroniących je przed przymrozkami. Przy tym wszystkim nauczyłem się liczyć, dziwiłem się, że mówię „trzydzieści”, a nie „dwadzieścia dziesięć”. Pamiętam, że przez pewien czas chodziłem do zaimprovizowanego przedszkola. Lubiałem słuchać miejscowych śpiewów, zapamiętałem niektóre teksty i melodie, choć nie mam po temu zdolności. Mama jakoś nie śpiewała na Wodopadzie. Nauczyła nas tam początków pacierza. Wpoila nam też przekonanie, że jesteśmy tu czasowo i że do ojca i do Polski wrócimy. Zrobiła to w sposób tak naturalny i spontaniczny, że dla nas nie były to prawdy do wierzenia, lecz wiara, którą się po prostu żyło.

Do miejscowego folkloru należały wizyty Nienców zwanych także Samojedami<sup>8</sup> (jeszcze przedśłowiańskich mieszkańców tych ziem, przypominających Lapończyków lub Eskimosów), którzy jeździli zimą po okolicy saniami zaprzężonymi w renifery, by zaopatrzyć się w niezbędne im produkty. Widzę ich do dziś jak stoją w pięknie zdobionych butach z długimi cholewami ze skóry renifera wywróconej sierścią na zewnątrz; wywoływali sensację jedząc surowe mięso ryb i renifera.

Późną jesienią 1941 roku, w listopadzie zachorowała Elżunia. Było z nią co raz gorzej. Miejscowy felczer, do którego dotarła mama stwierdził zapalenie opon mózgowych. Był bezsilny, nie miał leków. Mama próbowała choć trochę ulżyć dziecku. Za swoją obrączkę ślubną zdo-

<sup>8</sup> Samojedzi, Nieńcy — narody zamieszkujące północno-wschodnie tereny europejskiej Rosji i północno-zachodnią Syberię.

była parę ryb i trochę mleka („Siewierianka” pytała tylko, czy obrączka jest na pewno poświęcona — to był swoisty przejaw religijności w tym zateizowanym kraju). 19 grudnia 1941 roku Elżunia zmarła. Miała 2 lata i 8 miesięcy. Jej ostatnia prośba była — „chcę mięska”. To był już drugi nasz pogrzeb na miejscowym cmentarzu, którego położenie na zawsze zapamiętałem. Najbardziej chyba rozpacziała babcia, że wnuczkę przeżyła. Było to rozpaczliwie smutne, ale w nas chłopcach przeważała naturalna wola życia. Pozwalała nam trwać dalej, mimo że docierały do nas (ja rozumiałem już wiele) wieści, które wszystkich niepokoiły. Oto na przykład, nie wiedzieć czemu i po co, nakazano Polakom kopać doły w lesie, co budziło różne obawy [...].

Przerywając tok moich wspomnień dodam, że trafiłem tam po ponad pół wieku — docierając dzięki życzliwej pomocy rosyjskich przyjaciół, gdy byłem na kongresie w Archangielsku jako delegat KUL. Odnalazłem cmentarz i rozpoznałem nasze trzy groby po ich charakterystycznym układzie: dwa duże groby dziadka i babci, a pośrodku malutki Elżuni. Wreszcie stanąłem przy grobach moich bliskich. U ich podnóża wkopaliśmy wysoki krzyż zrobiony z wyciętego świerka, na którym przymocowałem przywiezioną z Lublina tabliczkę z imionami dziadków i siostrzyczki, upamiętniającą też prababcię i wszystkich pochowanych tu Polaków.

W miarę trwania niemiecko-sowieckiej wojny ucisk wobec Polaków ulegał jakby złagodzeniu, uwaga była skupiona najwidoczniej na czym innym. I wreszcie nastąpiło coś, co wzmogło nadzieje nas wszystkich: ogłoszenie tzw. amnestii dla Polaków, na mocy układu Sikorski — Majski<sup>9</sup>. Temu (także) niejeden z nas zawdzięczał swoje przeżycie. Rosja sowiecka była w śmiertelnym uścisku wojsk niemieckich (jak wiadomo, było tak kiepsko, że Stalin i inni zaczęli apelować per „bracia i siostry”, nawet otwierać cerkwie). Dało się nawet wtedy usłyszeć dziwne zdanie: „nu Polaki, Gitlier was zdzies’ posłał i Gitlier was oswobodit”<sup>10</sup>.

W tym też czasie zainteresowała się nami listownie ambasada polska w ZSSR (na skutek różnych starań ojca, jak się później dowiedziałem — byliśmy na tzw. liście rzymskiej). Listy z ambasady były zatrzymywane przez NKWD. Dowiedzieliśmy się o nich, gdy jeden wyjątkowo do nas dotarł — listonosz (chyba Polak) zaryzykował i dał

<sup>9</sup> Układ Sikorski–Majski — z 30 lipca 1941 pomiędzy Polską (Władysław Sikorski) a ZSRR (Iwan Majski), celem wspólnej walki z Niemcami w ramach koalicji antyhitlerowskiej.

<sup>10</sup> „No, Polacy, Hitler was tu posłał i Hitler was wyzwolił”.

go mamie do przeczytania, po czym zakleił i odniósł na pocztę. Mogło to dla nas wszystkich mieć różne skutki. W każdym razie nasza rodzina i — tylko jeszcze jedna, kobieta z trójką dzieci — nie dostała pozwolenia na opuszczenia posesji i wyjazd na południe, gdzie gen. Anders organizował polskie wojsko. Tylko siostrze mamy jakimś cudem udało się tam dotrzeć. Jednak zmieniła się ogólna atmosfera, stosunek do Polaków stał się jakby bardziej przychylny.

Powstawały delegatury ambasady polskiej w ZSSR. Ta obejmująca nas, zwana potocznie konsulatem, była w Archangielsku. Przyszła stamtąd pierwsza pomoc, rozdzielana przez swego rodzaju samorząd (mężowie zaufania). Była to także wielka psychiczna i moralna podpora. Polacy masowo ruszyli na południe, w kierunku gen. Andersa, my jednak musieliśmy zostać. Mama postanowiła o nas walczyć, zrobić wszystko, by nas ratować, wydostać się z tego odludzia. Nielegalnie, ledwie żywa przedarła się sama, mroźną zimą do Archangielska. Tam, w hotelu „Inturist” urzędowała delegatura: konsul Józef Gruja (przybyły z Londynu) i jego zastępca Witold Władysław Kuczyński. Obaj polscy oficerowie, pierwszy raczej dyplomata, drugi pełen sarmackiej fantazji. Zaopatrzyli mamę w żywność i dali kartki na chleb — kupiła chleba, ile mogła udźwignąć.

W delegaturze mama poznała swoją rówieśniczkę Zdzisławę Wójcik, zesłaną z łapanki we Lwowie. Jej losy były tragiczne. W Archangielsku zaczęła pracować w delegaturze w charakterze sekretarki — była córką profesora uniwersytetu, ukończyła dwa wydziały, znała języki. Ona to pomogła mamie nadzwyczajnie. Zdołała jakoś przekazać jej swoją dotychczasową pracę w gospodarstwie rolnym pod Archangielskiem (rolnictwo wtedy było w priorytecie, za nielegalny handel chlebem na bazarze karano 5-letnim łagrem). Dzięki temu mogliśmy opuścić posesję i legalnie zameldować się w Archangielsku (do meldunku potrzebne było zatrudnienie, a do zatrudnienia, meldunek). Lecz babcia już tego nie doczekała, schorowana coraz bardziej słabła i w czerwcu 1942 roku zmarła. Był to już trzeci pogrzeb w naszej rodzinie na Wodopadzie.

Mama wzięła tylko niezbędne rzeczy, pamiętam, żeniosła coś do jedzenia w niebieskim czajniku. Nasza czwórka, mama, Tadeusz i nas dwóch, powędrowaliśmy torami kolejowymi w kierunku Archangielska. Most na rzece był zamknięty przez wojsko, ale na prośbę mamy pomógł nam litościwie sam dowódca posterunku (widzieliśmy jak inni szli wplaw przez rzekę). Dotarliśmy na stację kolejową. Dla swojego brata mama kupiła dwa bilety połówkowe, zamiast jednego całego (tylko my byliśmy przypisani do mamy, do jej zezwolenia na



wyjazd) po to, żeby jakoś zamaskować fakt, że Tadeusz nie ma pozwolenia na opuszczenie posesji. Za jakiś datek weszliśmy do pociągu. Po drodze jednak była kontrola NKWD: funkcjonariusze szli od lokomotywy i od końca pociągu. Jeden z nich zaarrestował Tadeusza. Mama zaczęła prosić o ratunek dla brata. W dramatycznej rozmowie okazało się, że jest Żydem, a jego matka pozostała we Lwowie. Mama chwyciła się tego jak deski ratunku, tłumacząc mu, że może jego matka potrzebuje pomocy od Polaków tak jak my jej teraz potrzebujemy [...]. Nadchodził właśnie do naszego przedziału drugi funkcjonariusz i ten pierwszy powiedział: ja muszę go aresztować, ale wyjdźcie na najbliższej stacji z pociągu, czekajcie, on do was wróci. Usiądźcie z dala od stacji i nie odzywajcie się, bo od razu widać, że jesteście obcy. Już pod wieczór wrócił do nas Tadeusz i razem, innym pociągiem dotarliśmy do Archangielska.

Udało się, a nie było to łatwe, bo miasto było pod specjalnym nadzorem wojskowym. Był to jedyny port czynny w ZSSR i spodziewano się ataku Niemców z Norwegii. Mama podjęła ostatecznie pracę w ogrodzie i w szklarni w samym Archangielsku, pracowała też w wytwórni flag okrętowych. Wujek Tadeusz zatrudnił się w fabryce walizek. Ja zacząłem uczęszczać do szkoły. Uczyłem się dobrze, dostawałem nawet nagrody (były różne: bilet do kina, do teatru, bułka, a jedną z nich, bajki Kryłowa, mam do dziś). Pisaliśmy przeważnie na książkach, między linijkami. Dawano tylko 2 zeszyty z przydziału na rok. Na naszym podwórku miałem dwu bliższych kolegów: Wowkę, którego matka była Polką, z dawniej tu przybyłych Polaków, oraz Rosjanina Pietię. Po nim to mam pamiątkę po dziś dzień, bo wojowaliśmy często na drewniane szable i kiedyś mało mi nie urwał palca metalową rękojeścią. Lubił też przedrzeźniać śmieszny polszczyznę mojego brata, wzywającego mnie w pilnej życiowej potrzebie. Ulubioną naszą zabawą było skakanie po stertach ze ścinków blachy, z której w pobliskiej wytwórni wyrabiano czerwone gwiazdy i inne odznaczenia wojskowe.

Bardzo nas wspierała Rosjanka Walentyna, zarządzająca „Sadowodstwem”, w którym pracowała mama (w miejskiej filii przedsiębiorstwa „Sadziemtrest”). Pamiętam też biegającą po szklarniach nastolatkę, Żeńkę z sadowodstwa (tak ją wszyscy nazywali), która nas lubiła, choć całkowicie lekceważyła. Zapamiętałem ją od przysłowia, które ta cwaniaczka powtarzała: „ryba iszczet gdzie głębie, człowiek iszczet gdzie luczszje”<sup>11</sup> i wykręcała się od pracy. W związku z tym przy-

<sup>11</sup> „ryba szuka gdzie głębiej, człowiek szuka gdzie lepiej”.

pomina mi się mój największy triumf. Buszowałem za domkiem, w którym urzędowała Walentyna, na placu porośniętym trawą i zdzi-  
czalymi krzewami, graniczącym z angielskim konsulem. Nagle za-  
intrygowało mnie coś wystającego z ziemi. Wygrzebałem kilka dłu-  
gich „złotych” prostokątnych puszek, które zapewne ktoś przemycił,  
przerzucił za płot i „zabezpieczył”. Natychmiast zaniósłem je mamie.  
Okazało się, że jest to znakomita mielonka, którą raczyliśmy się, czę-  
stując także zaprzyjaźnionych sąsiadów. Na wieść o tym inni pobiegli  
tam natychmiast i przynieśli jeszcze jakieś puszki, tym razem okrągłe.  
Spotkał ich jednak zawód. Zawartość wyglądała na marmoladę, ale  
okazała się jakąś substancją do dezynfekcji.

Za plecami, w parku mieliśmy artylerię przeciwlotniczą — „zie-  
nitki”<sup>12</sup>. Niebawem zaczęły się niemieckie naloty z Norwegii. Noc  
w noc, zwłaszcza gdy była zorza polarna. Zaczynały się od wlotu  
sowieckiego samolotu nad miasto, który brzęczał jak mucha. Potem  
była „wozdusznaja triewoga”<sup>13</sup> ogłoszona wyciem syren zewsząd,  
i dalej, głuchy wzrastający pomruk nadlatujących niemieckich  
bombowców, które przebiły się przez zapory. Następowoło bombar-  
dowanie: świst spadających bomb burzących („fugasek”) i furkot  
małych bombek fosforowych, zapalających. Wydobywały się one  
w locie z dużej bomby „matki”, otwierającej się w powietrzu, spada-  
ły oświetlając niebo i miasto. Walili we wszystko, celując zwłaszcza  
w gniazda obrony przeciwlotniczej i w reflektory przecinające niebo,  
usiłujące wytropić bombowce, w port, w stojące w nim okręty z kon-  
wojów (sowieckich było niewiele, pamiętam tylko „Baku”) i w mia-  
sto, które się łatwo paliło, bo było drewniane — budynki, chodniki,  
a nawet jezdnie. Huk był niesamowity i widno było jak w dzień. Zza  
szklarni dochodziło szalone strzelanie „zieniepek”. Rano znajdowa-  
liśmy srebrzyste odłamki („oskolki”), między innymi w kapuście.  
Raz, gdy byliśmy w ziemno-drewnianym schronie akurat weszła  
nań krowa i schron zaczął się walić. Po tym doświadczeniu mama  
wolała zostawać w domu lub nawet na dworze (pamiętam raz — ze  
śpiącym na poduszce Jaśkiem). Ale przeżyliśmy to wszystko, mimo  
że wokół były ślady bombardowań.

W tych warunkach ludzie dodawali sobie otuchy jak mogli, różny-  
mi żartami, powiedzonkami, wierszykami (nie zawsze wymyślnymi).  
Do dziś dnia dźwięczy mi w uszach: „Wnimanije, wnimanije, goworit

<sup>12</sup> Zienitka — w żargonie żołnierskim działo przeciwlotnicze, od „zieniepkowe orudje”.

<sup>13</sup> Wożdusznaja triewoga — alarm lotniczy.

Giermanija, s muzykoj, s bombioszkoj, s dyriawoj powarioszkoj”<sup>14</sup> — sugestia biedy w Niemczech, a przecież w Rosji było o wiele gorzej! Główną rozrywką było kino z filmami komediowymi. Bilety były bardzo tanie. Mimo podstawowych braków, kina i pachnidła w sklepie nigdy nie brakowało... Podczas seansu chuliganeria „łowila” z balkonu na „wędkę” kapelusze siedzących niżej sowieckich dam. Przed seansem wyświetlano propagandową kronikę filmową. Z niepokojem i nadzieją oglądano migawki z frontu. Gdy na ekranie pojawiał się Stalin wywoływał entuzjazm, słyszało się okrzyki, ludzie wstawali z miejsc. Tylko gdzieś w cichości, prywatnie pozwalano sobie na jakieś krytyczne uwagi. Tak na przykład było, gdy wrócił z frontu bardzo lubiany syn naszej sympatycznej sąsiadki, chłopak prawie, nie pamiętam — bez ręki czy nogi. Przypominam sobie, że była u nich świąteczna choinka z jeszcze „carskimi” chyba ozdobami.

Dzieci, jak to dzieci, miały swoje życie. Podkładały naboje („patrony”) pod tramwaje — tak ładnie wybuchały, tramwaj stawał, a dzieci nie wiadomo gdzie szukać... Miasto było w stanie wojennym, mężczyzn prawie nie było, wszędzie kobiety, także milicjantki. Koło nas pilnowały szopy ze starym uzbrojeniem do rozdania ludności dla samoobrony, na wypadek inwazji niemieckiej. One nie były groźne. Deski z tyłu szopy były spróchniałe i dawało się z niej wyciągnąć zgromadzone tam karabiny i naboje. W mieście było już rozprężenie, bałagan. Przedstawiciele władz chodzili w obstawie NKWD. Pełno było cudzoziemskich marynarzy: angielskich, amerykańskich, kanadyjskich, także polskich — z konwojów zaopatrujących w broń i żywność Rosję Sowiecką, która ledwie się broniła. Nauczyliśmy się odróżniać wedle mundurów ich narodowość; spotykaliśmy ich zwłaszcza nad Dźwiną, gdzie biegaliśmy latem. Jakoś porozumiewaliśmy się z nimi, częstowali nas zgłodniałych, zwłaszcza czekoladą. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z językiem angielskim. W tym czasie zachorowałem na zapalenie uszu (na prawe do dziś jestem głuchy). Dostałem się do lekarza z pobliskiego angielskiego konsulatu. Zostałem skierowany do nowo zbudowanego szpitala rosyjskiego, z którego zapamiętałem bardzo niewygodną poduszkę napełnioną wiórami i ogromne szczury (mimo, że światło świeciło się tam cała noc).

Po drodze z Wodopadu do Archangielska trzeba było przeprowić się przez Dźwinę, która przed ujściem do Morza Białego była ogromna (przepływała między czternastoma wyspami, z których część nale-

<sup>14</sup> „Uwaga, uwaga, tu mówią Niemcy — z muzyką, bombami i dziurawą chochlą” — dziecięca przyspiewka ośmieszająca przeciwnika.

żała do miasta). Tam, po lewej stronie patrząc w kierunku ujścia, po przeciwnej stronie miasta, leżała mała miejscowość Bakarica. W niej stacjonował niewielki oddział polski. Mama ich dostrzegła podczas swojej wyprawy z Wodopadu do Archangielska. To byli Polacy, którzy wyszli z łagrów lub zesłania. Byli porządnie umundurowani. Mieli na czapkach piękne polskie orzelki, które chyba sami wybijali ze „złotej” puszkowej blachy. Doprawdy, takich nigdy nie widziałem! Mieli swego kapelana. Od niego mama dostała piękne obrazki. Wśród żołnierzy wyróżniał się podporucznik Antoni Szwalko, człowiek bardzo szlachetny, w cywilu nauczyciel z Wileńszczyzny, bardzo z nami solidarny. Ci wojskowi wiele nam pomogli. Pamiętam jak w workach przynieśli nam suchary i inną żywność przed swoim wyjazdem (widząc ich maszerujących, Rosjanie mówili: „smotritie, chitryje Poliaczki, kak oni szagajut, a my za nich krow’ proliwajem”<sup>15</sup>). Antoni Szwalko umarł w Krakowie, o czym dowiedziałem się po latach z „Kierunków”. Nie mieliśmy pojęcia, że przeżył i wrócił do Polski. Dopiero potem mama nawiązała kontakt z jego synem.

W Archangielsku lizał swoje rany polski okręt, kontrtorpedowiec „Garland”. Murmańsk wtedy był zniszczony przez Niemców i konwoje musiały przebijać się przez Morze Białe, żeby dotrzeć do Archangielska. Stacjonował też dłużej w porcie dozbrojony polski transportowiec „Tobruk”. Pamiętam trzeciego oficera (chyba Ryszarda) Śmiechowskiego — którego żona też była na zesłaniu, wysyłał do niej paczki, mama mu w tym pomagała — oraz sternika Bolesława Malinowskiego. Oni szczególnie, ale i inni, bardzo nas ratowali; żywność przemycali bardzo pomysłowo przenosząc ją w „kiszkach” uszytych z pontonowego materiału, które zwieszali pod obszernymi marynarskimi bluzami. Rosjanie tego zabraniali. Port był zamknięty, na prawie wojennym. Zdarzało się, że miejscowi chłopcy Dźwiną podpływali licząc na „zrzuty” od marynarzy. Ochrona portu wtedy do nich strzelała. W ogóle port i marynarze byli ciągle kontrolowani, ale od czego pomysłowość Polaków?!

Władze sowieckie przyznawały nam, tak jak wszystkim, kartki na chleb: racje ustalone według wieku i zatrudnienia, stanowiące minimum dla przeżycia. Pamiętam jak pewnego razu świtkiem poszedłem po chleb do magazynu (sklepu). W długiej kolejce powstało jakieś zamieszanie i musiał interweniować milicjant, co przedłużyło oczekiwanie. Bardzo zmarzłem. Po powrocie okazało się, że było ponad

<sup>15</sup> „patrzajcie na nich, podstępne Polaczki, jak oni stąpają, a my za nich krew przelewamy”.

40° mrozu. Korzystaliśmy też z obiadów stołkowych, które były mizerne i niesmaczne. Przypominam sobie danie, w którym wydawało się, że było mięso z wrony, podawano też dość często kawałki mięsa, raczej tłuszczu z foki (tiuleń), obrzydliwe, podobnie jak śmierdząca zupa z solonych łbów dorsza (trieski), to była słynna skądinąd rosyjska „ucha”.

W Archangielsku mieliśmy pewne kontakty z miejscowymi Polakami i Rosjanami. Pełno tu było uciekinierów z blokowanego przez Niemców Leningradu. Byli wśród nich ludzie wybitni. Uciekali nocami, bombardowani, przez jezioro Ładoga (wreszcie Stalin zdecydował się kogoś wypuścić). Byli różni, niektórzy współpracowali z NKWD, obracając się wśród cudzoziemców licznych wtedy w Archangielsku. Byli literaci, tłumacze, artyści. Pamiętam pisarza Włodzimierza Bielajewa.

Z miejscowych Polaków (pewnie dawnych zesłańców) poznaliśmy niezwykle przychylnego nam agronoma Dydkowskiego (lub Dytkowskiego); pochodził spod Kijowa, był dziadkiem wspomnianego już mojego kolegi Wowki. On to wyprowadził nas z budki między szklarniami, gdzie mieszkaliśmy po przyjeździe do Archangielska, do swojego, położonego w pobliżu mieszkania. Zajęliśmy tam kuchnię, w pokoju zaś „mieszkała” świnka, którą dokarmiano na pół legalnie prowiantem ze wsi. Nocą „odwiedzały nas” szczury, takie jak te ze szpitala, ogromne, różnej maści, od szarych do brunatnych i w różnych odcieniach. Wabiło je jedzenie dostarczane śwince. Harcowały dosłownie wszędzie, nawet po ścianach. Baliśmy się, były obrzydliwe i roznosiły zarazę. Trochę się to uspokoiło, gdy dostaliśmy od marynarzy lampę okrętową, która miała silne światło, a nadto ogrzewała nas w pryczy — w mieszkaniach nie było liczników, więc tylko korki trzeba było dostosować, a żarówki były z przydziału. Z polskich zesłańców przypominam sobie sympatyczną postać pana Bomersbacha, panią Wiatrową z synem i córką i panią o imieniu Eleonora.

Z czasem Archangielsk opuścili żołnierze i odpłynęli marynarze. Mówili, że mogą przemycić nas do Londynu w kotłach, ale były to dywagacje teoretyczne, trochę żarty. Niedługo potem wybuchła sprawa Katynia; Stalin zerwał kontakty z rządem polskim i oskarżył Polaków o kumanie się z Niemcami. Mama zapytała kiedyś o to, w cztery oczy, pewnego wysokiej rangi oficera sowieckiej marynarki wojennej. Odpowiedział dziwnie wymijająco: „jedni zaczęli, drudzy skończyli”. W tym czasie, pamiętam, byliśmy dosłownie zalewani broszurami w języku polskim (ze zdjęciami, dokumentacją itp.), wydanymi

w Moskwie, mającymi świadczyć, że to Niemcy zamordowali w Katyniu oficerów Polskich. Niebawem zamknięto delegaturę w Archangielsku (podobnie jak wszystkie inne w całym ZSSR), a wkrótce samą ambasadę. Wtedy nasze kontakty z obcokrajowcami, z londyńską delegaturą na czele wyglądały coraz bardziej podejrzanie. Nasilono kontrole, których zresztą nigdy nie przerywano. Pamiętam jak kiedyś, gdy mieszkaliśmy jeszcze wśród inspektów w „Sadowodstwie”, dostrzegłem oficera NKWD rozmawiającego z mamą; zwróciłem uwagę na jego pistolet, który jakby od niechcenia eksponował. Mama po tej wizycie wydawała się zaniepokojona.

W tym czasie wojska sowieckie zaczęły przechodzić do kontrofensywy. Nam i nam podobnym zaczęto uważniej się przyglądać, albo dopatrując się w nas wrogów, albo próbując zjednać dla „nowej Polski demokratycznej i przyjaznej ZSSR po wojnie”. Pozostającymi w ZSSR Polakami zajął się ZPP (Związek Patriotów Polskich założony przez współpracujących z ZSSR polskich komunistów, z Wandą Wasilewską, Alfredem Lampem i innymi na czele)<sup>16</sup>, przede wszystkim ideologicznie i politycznie, choć trochę faktycznie pomagając, poprzez „zastępczą” — po odejściu gen. Andersa do Iranu — translokację Polaków na południe Rosji, z myślą perspektywnie o powrocie do Polski. W tym czasie organizowano też Dywizję im. Tadeusza Kościuszki, do której na ochotnika zgłosił się wujek Tadeusz. Tak więc została nas tylko trójka: mama, brat Jasiak i ja. Formalnie byliśmy „wolni”, w wyniku „amnestii”. Tak więc, po uzyskaniu zaświadczenia z „odwzalnii” (mama to załatwiła, by nie niszczyć odzieży) załadowano nas do wagonów towarowych i przetransportowano na Powołże, do obwodu Saratowskiego, rejon Krasnyj Kut, do miejscowości Schönthal.

Były to tereny niemieckiej republiki autonomicznej (ze stolicą w Engelsie), z których wysiedlono Niemców, gdy wojska niemieckie zbliżyły się do Stalingradu. W Schönthalu była poczta z czerwonej cegły, drewniana poniemiecka szkoła, kościół zrujnowany i zamieniony na spichlerz z pszenicą. Było tam mnóstwo domów zbudowanych miejscowym zwyczajem z suszonej cegły i otynkowanych zaprawą z gliny zmieszanej z sieczką, z drewnianymi podłogami malowanymi olejno, ze zdobionymi od frontu drewnianymi dachami i oknami. Wewnątrz były wszędzie piece z charakterystycznymi żeliwnymi miskowatymi wgłębieniami służącymi do ogrzewania. Palono w nich burzanem („burianem”) lub „kiziakami”, czyli brykietami z suszonej

<sup>16</sup> ZPP — organizacja polityczna powołana przez Stalina w 1943 roku do realizowania rosyjskich celów w Polsce.

na słońcu mieszaniny nawozu<sup>17</sup> z sieczką. Wiele domów w Schönthalu było zrujnowanych, drewno z nich wykorzystywano nielegalnie na opał. Naokoło Schönthalu były wsie poniemieckie, jak Rosenthal lub rosyjskie, jak Jagodne i Iwanowo. Przyroda była tam piękna, mnóstwo ptactwa i rozmaitej stepowej zwierzyny. Z ptaków pamiętam szczególnie liczne jaskółki oknówki, które obsiadywały druty, strącając się nawzajem i gnieźdzące się w zrujnowanych domach kolorowe dudki. Na niebie królowały jastrzębie i orły stepowe, które raz po raz spadały na biedne susły. Było ich pełno i dawały znać o sobie swym świstem (miejscowi łowili je, zalewając nory). Były też wilki stepowe — ich oczy w nocy charakterystycznie, jak latarnie świeciły — groźne dla sowchozowych stad, zwłaszcza owiec i bydła, mniej dla koni, najmniej dla wielbłądów. Prześliczne były małe — szare!

Polaków zainstalowano i zatrudniono w miejscowym sowchozie „Polanskaja Dolina”. Położony był wśród typowych zawołańskich stepów, na wspaniałych czarnoziemach, nad rzeką Jarosłan, przy której miały swoje schronienie liczne jaskółki brzegówki. Zamieszkaliśmy w domu przy ul. Leninstrasse, wraz z Jadwigą Wejrochową. Mama jakiś czas pracowała w ochronie sanitarnej przed malarią (butelka z naftą plus talerzyk — „bludce” do badania wody w miejscowej, płynącej leniwie rzece), działała też na rzecz społeczności polskiej (brakowało inteligencji). Były to raczej suche stopy, choć po zimie zostawało sporo wilgoci ze śniegów. Brak było lasów i w ogóle drzew (były ich tylko ślady po poprzednich mieszkańcach). Jediną płynącą wodą była nieduża rzeczka, która wiosną wzbierała tak, że na drugi brzeg można było się przedostać tylko zaimprovizowanym promem. Woda pitna z miejscowych drewnianych studni wydawała się nam po przyjeździe w smaku słonawa, ale potem przyzwyczailiśmy się.

Tytułem dygresji powiem, że zawsze lubiłem wodę i to co z nią związane. Tak sobie myślę, że życie moje i moich bliskich płynęło niejako wraz z rzekami, było odniesione do nich. Najpierw wiązało się z Wisłą i ziemią urodzenia, zaraz potem — przez błota poleskie z tamtejszym kompleksem wodnym — z dorzeczem Dźwiny (północnej) i dwiema rzeczkami w Wodopadzie, następnie z samą Dźwiną — Archangielsk, z kolei z dorzeczem Wołgi — Schönthal nad rzeką Jarosłan. Patrząc od strony mórz, byłby to — Bałtyk ze swoim zlewiskiem, potem zlewiska Morza Białego i Czarnego.

<sup>17</sup> Brykiet z „nawozu i sieczki” — to mieszanka nawozu zwierzęcego i sieczki.

Ogólnie biorąc, życie codzienne w Schönthalu było dla nas nieporównywalnie lepsze niż w Archangielsku, nie mówiąc o Wodopadzie. Znaleźliśmy się tu już w czasie zarysowującej się klęski Niemiec. Tu nas też zastał koniec wojny i częściowo czas już powojenny. Zresztą tereny te są obdarzone wielu bogactwami natury, choć sporo do życzenia pozostawiało ich wykorzystanie (po to, by je zagospodarować pozwolono, jeszcze dawno za cara, na niemiecką kolonizację). We wspomnianym już poniemieckim kościele zalegała pszenica, w której harcowali chłopcy, a zanurzając się w nią czuli jak była gorąca, zaparzona. Oprócz doskonałej pszenicy była to kraina dojrzewających łąnów słoneczników i dyniowatych — olbrzymich dyń, wspaniałych arbuzów i melonów.

Nie wszystko było dla nas dostępne, ale na przykład, mimo zakazów, mogliśmy dobierać się zimą do niezebranej w sowchozie fasoli, która była zmarznięta, ale pożywna i bardzo wzbogacała nasz jadłospis. Miejscowi Kazachowie wyrabiali charakterystyczny dla nich „kazachskij syr”, najczęściej w formie placków robionych przez kobiety z wygotowanego mleka. Były dwie odmiany tego smacznego i wysokokalorycznego pożywienia, ser kwaskowaty i całkiem słodki. A w ogóle, to każdy, miejscowym zwyczajem, przeżuwał coś całymi dniami: jeśli nie ów ser, to prażoną pszenicę, „siemieczki” słonecznikowe, makuchy, pestki z dyni, a nawet smołę<sup>18</sup>. Z innych tamtejszych specjalów pamiętam mniej smakujące mi solone pomidory z beczki. W stepach pojawiały się łąny pieczarek, które mało kto zbierał. My chłopcy jedliśmy niezbyt smaczne, ale dojrzewające tam jagody (występują też w Polsce, ale rzadko dojrzewają), rosnące na ogół w pobliżu zabudowań gospodarskich i między kartoflami. Nazywały się „paszłoma”. Wykorzystywano je czasem na pierogi.

Z Schönthalu szczególnie zapamiętałem Bogusia Chromińskiego, z którym przyjaźniłem się, a także chłopca nazwiskiem Pikuła, Zofię Babij z bratem i chyba z dziećmi, oraz trochę starszą Dąbrowską. Mama przyjaźniła się bliżej z Jadwigą Wejrochową. Jej mąż, polski oficer walczył na froncie, dowodził saperami. Gdy znalazł się już na polskich terenach, wysłał do swojej żony adiutanta Stolarskiego (polskiego Żyda), by ją wywieźć do Polski. Adiutant umiał się dogadać z sowieckimi władzami i Jadwiga wyjechała. Ciekawa to była postać. Ciągle chorująca (leczyła się przed wojną w renomowanych uzdrowiskach, w tym w Austrii). Nie pracowała i jakoś to tolerowano. Lubiła chodzić nad rzekę, gdzie ją spotykaliśmy, idąc się kąpać. Nie знаła też

<sup>18</sup> Smoła — prawdopodobnie była to żywica drzew iglastych.



i nie uczyła się języka rosyjskiego. Raz obie z mamą wybrały się do dyrektora sowchozu Dowżenki na rozmowę. Był on główną postacią w sowchozie, sowchozowym autorytetem. Jeździł porządną dwukółką, zaprzęzoną w najlepszego bardzo pięknego i narowistego konia. Wchodząc, zwróciła się do niego: „panie dyrektorze”, a nie per „obywatel”, czy „towarzysz”. Przyjął to nieoczekiwanie dobrze, pamiętając „polskich panów”. To mu zaimponowało, chociaż ciągle nam wypoiminano, niezależnie od pochodzenia: „w Polsze daże tuflie — „pany” (czyli: w Polsce nawet *pantofle* to pany), jeszcze na Wodopadzie prowokacyjnie śpiewano: „pomniat psy-atamany, pomniat polskije pany konarmiejskije naszi klinki...”<sup>19</sup>. Obdarował panie wspaniałomyślnie żywnością, wedle życzenia. Podobnie życzliwy Polakom był pochodzący z Ukrainy agronom Czernysz, z którego synem chodziłem do szkoły i przyjaźniłem się. Ukraińcem był także mniej ciekawy, niefrasobliwy ekonom sowchozu Chołod.

Do Polaków dojechali niebawem Żydzi polscy (pochodzący z Małopolski), znad Leny (z Bodajbo), gdzie były „płukalnie” złotego piasku. Tak więc tworzyliśmy dwuspołeczność, jako współobywatele polscy mający wrócić do kraju. Żydzi stanowili jakby grupę wydzieloną, trzymali się bardziej na uboczu, z pewną rezerwą, większą niż względem nich Polacy. Wśród nich było pewne zróżnicowanie: jedni byli bardziej tradycyjni (rzemieślnicy, władający raczej językiem jidysz), inni mniej. Wspominam teraz z szacunkiem szlachetnego Karpia, który zwracał mi uwagę, że mam być wzorem dla brata i innych. Trochę się wówczas bocyłem, a „wzór” kojarzył mi się ze ściegami swetrów, którymi mama dorabiała jeszcze w Archangielsku na zamówienie zamożniejszych osób (przypominam sobie generałową Grabi). Z działaczy społecznych wymienię tu Neufelda i Grubera. Żydzi w Schönthalu zajmowali się przeważnie krawiectwem w ramach spółdzielni, którą prowadzili. Otrzymywali też specjalną pomoc międzynarodową — paczki od amerykańsko-żydowskiej organizacji Joint, które czasem docierały do nich okradane.

Osobna postać, to Jakub Ingber, rasowy inteligent, absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. On, mieniący się ateistą czy agnostykiem, uczył nas w szkółce polskiej prowadzonej przezeń przy szkole rosyjskiej, pod flagą ZPP. Był z rodziną, żoną i dziećmi: dorastającą, spokojną Wisławą i młodszym, nerwowym Ryszardem, z którym kolegowaliśmy się w szkole. Uczestniczył on chętnie w akademiach organizowanych z okazji polskich świąt państwowych, re-

<sup>19</sup> „Popamiętają psy-atamany, popamiętają polskie pany naszej konnej armii klingi”.

cytując z emfazą wiersze, na przykład „Lokomotywę” Tuwima (nigdy mi nie dostawało do takiej śmiałości cywilnej odwagi). Nie wszyscy chodzili w sowchozie do szkoły. Właściwie nie było takiego obowiązku. Kto się nie uczył, schodził od razu do niższej warstwy społecznej (w tym społeczeństwie jakoby bezklasowym).

Z tamtejszej rosyjskiej zawołżańskiej szkoły przypominam sobie takie oto, dziwne dla nas Polaków wydarzenie. Jest chyba mało oryginalne, raczej typowe, ale świadczące o stanie społeczeństwa, które znajduje doskonałe odbicie w umysłach i sercach dziecięcych. Oto siedzący koło nas Rosjanie, dziewczynki i chłopcy, obcałowowali podczas przerwy wizerunki książkowe Lenina i Stalina. Licytowali się w dyskusji „ideologicznej”, który z nich jest lepszym, bardziej zasłużonym (i piękniejszym) komunistą, bolszewikiem – słowo to nie miało pejoratywnego jak u nas znaczenia, ale jak najbardziej pozytywne. W wyniku argumentacji (ożywionej) przeważył Stalin, jako znakomity teoretyk i praktyk. Lenin zaś przegrywał, był również zasłużony, ale raczej jako teoretyk (mały niuans: nie był tak odważny jak Stalin, jako że w swoim czasie zbyt krótko krył się i uciekał). Nie muszę dodawać, że było mi to obce i wydawało się śmieszne. Przypomina mi się, jak w szkole w Archangielsku zrobiono mi łaskawą propozycję przyjęcia do młodzieżowej organizacji. Całkiem spontanicznie odpowiedziałem, że nie chcę, że jestem Polakiem. Wywołało to zdziwienie. Jak to, taki zaszczyt dla nie-Rosjanina, a tu odmowa. Ale jakoś zrozumiano mnie i zostawiono w spokoju.

W tejże szkole było wielu różnego pochodzenia uczniów: Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy, Żydzi i Kazachowie. Ci ostatni zbyt nie kwapili się do nauki, a jak wspominałem obowiązku szkolnego nie było. Kto nie chciał nie chodził do szkoły i zostawał robotnikiem w sowchozie, najwyżej był w MTS (stacja maszynowo traktorowa) traktorzystą i to niektórym wystarczało, nawet imponowało. Mógł też być zatrudnionym na pastwiskach albo w stajniach czy oborach. W mojej klasie pamiętam jednego Kazacha, który próbował mi dokuńczyć. Nie wiem, czy o Polsce w ogóle coś wiedział, ale przezywał mnie wierszykiem: „Polak, Polak z pieczki briak, rastianuślia kak czerwiak!”<sup>20</sup> Byłem dumny ze swej polskości, ale prawie nie reagowałem. Były też inne wierszyki, na przykład prorosyjskie, a krytyczne wobec innych, na przykład Polaków, czy Żydów, jak ten zaczynający się w łamanym międzynarodowym języku: „Tańcowały dwa Michały...”, zło-

<sup>20</sup> „Polak, Polak, z pieca spadł, rozkplął (rozplaskał) się jak robak!”

śliwie przerabiane, albo inne, jak ten antyrosyjski (sic!), rozpoczynający się: „Szoł Chochoł ...”, nie kontynuuję, bo nie jest zbyt nobliwy.

W szkółce polskiej korzystaliśmy z podręczników rosyjskich, tłumaczonych i wydawanych staraniem ZPP w Moskwie. Kiedyś porównałem podręcznik polski z jego rosyjskim oryginałem zauważając, że fragment dotyczący Kopernika i Galileusza ma w wersji polskiej brzmienie: „Kościół wobec nauki”, a w rosyjskiej: „Cerkow protiv naukie”. Zaraz podzieliłem się tym z mamą. Widać, że ci — głównie komuniści — którzy zamierzali rządzić w Polsce nie od razu swoje postawy ujawniali. W społeczności sowieckiej natomiast wracał jawnie wrogi religii marksistowski ateizm. Raz, gdy w szkole rozrzucono obrazki religijne, zebrała nas uczniów w dwuszeręgu miejscowa „partorg” (szef organizacji partyjnej) Karatiejewa wygłaszając prymitywny antyreligijny, ateistyczny manifest. Oprócz podręczników ZPP dostarczała nam słowniki i wydawane dla Polaków w Rosji gazety, między innymi „Wolną Polskę”.

My dzieci wiedzieliśmy, o co tu chodzi, tak nas bez specjalnych pouczeń wychowywała mama. Działał też zdalnie autorytet ojca, którego pamiętałem, i jego „rodzinna legenda”. Co się zaś tyczy polityki i ideologii, to Polacy musieli przyjąć protektorat ZPP, bo innego wyjścia nie było. Na wszelkie naciski polityczne mama zawsze odpowiadała: moją partią są moje dzieci. Zasłaniała się nami jak tarczą, z czego byliśmy dumni.

Wiosną 1946 roku zaczęły się przygotowania do powrotu do kraju, akcja repatriacyjna. Mama współuczestniczyła w przygotowaniach do transportu. Ja nawet nie zdażyłem formalnie ukończyć trzeciej klasy. Był maj, przygotowane były podwozy: konie, wielbłądy, woły, by nas przewieźć do zorganizowanego transportu kolejowego (najbliższa stacja: Mokrous). Mieszkaliśmy wówczas ze współlokatorkami, dwiema siostrami, Marysią Figurą i młodszą Anną, które przeniosły się do nas po wyjeździe Jadwigi Wejrochowej. One razem z nami wybierały się do Polski. Tuż przed samym wyjazdem niespodzianie wezwano mamę do Saratowa — chodziło podobno o jakieś dokumenty. Pojechała, trochę niespokojna, via Krasnyj Kut.

Nie wracała jednak. Wynikła stąd dezorientacja i niepokój, ale zdecydowano, by transport ruszył bez niej, a my w nim pod opieką współmieszkanek; przypuszczano, że mama wsiądzie po drodze. W Saratowie do naszego wagonu weszli funkcjonariusze NKWD pytając o nas i o dokumenty mamy. Przejrzeli torebkę, którą zostawiła. Stało się jasne, że została aresztowana i z nami nie pojedzie. Nam jed-

nak zezwolono jechać dalej z transportem, do ojca. Mianowano mnie wtedy „głową rodziny”, na którą przydzielano na nas obu prowiant.

Jak się okazało, to „urzędowe” wezwanie (chyba do obwodowego ZPP) było typowym wybiegiem NKWD, o czym opowiedziała nam mama po powrocie. Została zaraz aresztowana i przewieziona do więzienia w Saratowie, gdzie wysunięto wobec niej zarzuty polityczne i zaczęło się śledztwo. Niewątpliwie, musiał ktoś do tego specjalnie przyłożyć swoją rękę, nie wchodzimy tu w szczegóły. W każdym razie nikt z polskich oficjeli nie wystąpił w jej obronie. Podczas przesłuchania mama zażądała — zgodnie z prawem — powrotu dzieci do ojca (dowodem, że ojciec żyje były dwa telegramy wysłane przez niego przed naszym wyjazdem z Częstochowy, gdzie współpracował wtedy z oo. paulinami). Na śledczym (chyba nazwiskiem Polański) zrobiło to złe wrażenie. Stwierdził, że mama pogarsza swoją sytuację nie ufając Sowietaom, że wychowają nas dobrze dla późniejszej Polski — mamę w więzieniu, a nas w najlepszym sowieckim sierocińcu.

Dotarliśmy do Polski w okresie wielkanocnym. Serdecznie witali nas Polacy po przekroczeniu Bugu w Terespolu. Nas przewieziono do Poznania i zostawiono w PUR<sup>21</sup> (pamiętam, przy ulicy Rybaki), gdzie przeszliśmy kwarantannę, zdezynfekowano nas, odżywiono i zapewniono opiekę medyczną. Żydów skierowano do Wałbrzycha, a Polacy udawali się w Szczecińskie. Po miesiącu odnalazł nas w Poznaniu ojciec, ucieszony naszym widokiem, lecz załamany brakiem mamy i dopytujący się o jej los. Nastąpiły długoletnie starania o jej powrót. Na początku lat pięćdziesiątych wreszcie udało się nam skontaktować z mamą.

Losy mamy poznaliśmy dokładniej dopiero po jej powrocie. Z więzienia w Saratowie została przeniesiona do słynnego więzienia NKWD na Łubiance w Moskwie, potem, po wyroku — via jakieś więzienie przejściowe w Moskwie — została zesłana na 5 lat, najpierw w okolicy Krasnojarska, a ostatecznie do Abakanu, stolicy Chakasji. Jadąc z Moskwy na zesłanie, zachorowała na flegmonę i cudem niemal przeżyła. W szpitalu więziennym w Nowosybirsku przez pół roku leczył ją lekarz przygotowujący doktorat z tej rzadkiej choroby, pomagał mu lekarz Niemiec, więzień jak mama. Wspomnę tu, że tę samą chorobę zaszczepiał w czasie wojny lekarz niemiecki, gestapowiec, bratu mojego ojca, klerykowi Kazimierzowi, w obozie w Dachau.

<sup>21</sup> PUR — Państwowy Urząd Repatriacyjny powołany w październiku 1944 roku, zajmujący się pomocą Polakom powracającym z Rosji, a głównie przesiedlanym z ziem wschodnich na nowe terytoria przyznane Polsce po traktacie w Jałcie.

Po ogłoszeniu obejmującej ją pierwszej amnestii politycznej Malenkowa<sup>22</sup>, po śmierci Stalina, zaryzykowała podróż do Moskwy, do ambasady PRL. Stamtąd ją właściwie wyproszono oświadczając, że jest tam nielegalnie i wiadomo czym to grozi. Kazano jej natychmiast wracać. I tak dobrze ją potraktowano... Nastąpiły żmudne starania, mamy w Rosji i ojca w Polsce, o jej powrót. W pewnym momencie odwiedzili ojca w Warszawie przedstawiciele ambasady ZSRR przeprowadzając z nim długą rozmowę. Okazali zainteresowanie losem mamy, bardziej jednak interesowała ich sytuacja Kościoła katolickiego w Polsce — szczególnie nagabywali ojca o ks. Prymasa — i problematyka demograficzną, bo wiedzieli, że ojciec się nią zajmował. Wątpię, by ta wizyta coś wniosła do sprawy mamy, która przebiegała zwykłym urzędowym torem.

Mama wróciła do Warszawy prywatnie, własnym kosztem i staraniem, w maju 1955 roku. Była w złym stanie psychicznym i fizycznym i przez długi okres nie mogła dojść do siebie. Nigdy nie zdołała skorzystać z dobrodziejstw dodatkowej repatriacji Władysława Gomułki<sup>23</sup>, która nastąpiła niebawem po jej powrocie. My z bratem także nie uzyskaliśmy żadnych przywilejów repatriacyjnych po naszym powrocie w 1946 roku. Jeszcze przez pewien czas mama musiała meldować się w ambasadzie ZSSR, zanim odzyskała polskie obywatelstwo. Niebawem podjęła pracę (w spółdzielni inwalidów), bo wymagała tego zła sytuacja materialna — ojciec nie był hołubiony przez PRL-owskie władze, nie mógł publikować, bo był na indeksie i z trudem, jako emeryt „starego portfela” utrzymywał rodzinę.

Trudno sobie wyobrazić jakim dla nich obojga przeżyciem musiało być to spotkanie po przeszło 15 latach rozłąki. Upłynęła cała ich młodość. Dla mojego ojca ta nasza rodzinna rozłąka, to była jakby złośliwość losu i dodatkowe cierpienie: całe życie zajmował się problematyką rodziny, walczył o jej sprawy, tak istotne dla życia narodu... Dla nas zaś skończyło się półsieroctwo: najpierw siedem lat bez ojca, a potem 9 lat bez matki.

Na tym kończę strzępy tej mojej quasi-biografii zesłańczej, trochę refleksyjnie i kontekstowo. Przypominam ją sobie z pewnym trudem, samemu sobie i innym. Zesłańcem pozostaje się bowiem na całe życie... Kiedyś w Warszawie, zagadywany przez młodą dziennikarkę

<sup>22</sup> Gięrgij Malenkow — działacz państwowy ZSRR, jeden z najbliższych współpracowników Stalina, a po śmierci tegoż faktyczny przywódca państwa.

<sup>23</sup> Władysław Gomułka — sekretarz PPR, następnie PZPR, minister ziem odzyskanych od 1945, członek Rady Państwa.



Stasiak Majdański (wyższy) z bratem Jaśkiem –  
Komunia św. już w kraju (z pamiątek rodzinnych)

stary powstaniec powiedział do niej: tylko proszę, niech mi pani nie mówi: „były powstaniec warszawski”. To się nazywa mieć „kompleks powstańca”, tak jak „syndrom Sybiraka”, „łagiernika” i tak dalej. Wracają wciąż w myślach i snach obrazy z przeszłości, pojawiają się straszne wizje nowej wojny...

W moim życiu, odniesionym także do przeszłości, towarzyszy mi solidarnie moja żona Kazimiera. Dźwiga ona także ciężki los: jej matkę wraz z nią, jako malutkim dzieckiem, zatrzymano podczas przekraczania linii demarkacyjnej sowiecko-niemieckiej, gdy usiłowała z Białegostoku dotrzeć do męża w Toruniu. Przewodnik-przemysłowiec (dobrze opłacony) znikł z jej walizką, oddając je w ręce pograniczników. Matkę natychmiast zesłano na Syberię, a dziecko umieszczono w sierocińcu w Grodnie. Prowadziły go siostry, które w czasie strasznego głodu rozdały dzieci miejscowym rodzinom. Dziewczynkę przyjęła sympatyczna, bezdzietna rodzina. Jakimś cudem, jeszcze w czasie wojny, wiadomość

wysłana przez matkę do sąsiadki w Białymstoku, via Toruń dotarła do Suwałk, gdzie przebywał ojciec, zesłany przez Niemców na roboty. Odnalazł córkę, która nazywała się wtedy Katia Monastyrskaja i byli razem do jego śmierci, lecz matki nigdy już nie zobaczyła.

Zbiegły się więc dwa analogiczne poniekąd życiorysy. Znosimy swój los razem, w miarę dzielnie, starając się o optymizm, mimo wszystko. Zapewne niejeden miał los od nas gorszy. Czasem tylko, dla pocieszenia, przypominamy sobie tytuł książki ks. bpa Michała Korszyńskiego<sup>24</sup>: „Jasne promienie w Dachau”. Nawet w tak strasznym miejscu...

## POSTDICTUM

Te moje wybiórcze i bardzo szkicowe wspomnienia wymagają *ex post* pewnej ogólniejszej refleksji. Dotyczą one formalnie zesłańczych losów rodziny Nitów i Majdańskich, a w tytule jest zaznaczony mój własny wątek biograficzny. Ale przecież nie o jednostkowy przypadek tu chodzi, tylko o przypadek poniekąd typowy, albo jak kto woli, o przykład — paradygmat, jako *pars pro toto*.

Trzeba najpierw podkreślić, że deportacje stanowiły od wieków fenomen właściwy doktrynom i praktykom różnych imperiów — że przypomniemy tu tylko Rzym starożytny czy niedawne Brytyjskie Imperium. Tyle że przypadek Rosji imperialnej, carskiej, a następnie sowieckiej naznaczony jest zwłaszcza dla nas, Polaków i naszych sąsiadów charakterystycznym piętnem, „zsyłek” i łagrów (począwszy od Sołówek<sup>25</sup> na Morzu Białym). Represje rosyjskie czy sowieckie skierowane były najdotkliwiej do Polaków, bo stanowili zaraźliwy przykład kraju tolerancyjnego i wolnego — aż do przesady — a to dla Rosji był zawsze zły przykład. W związku z tym zauważmy, że nasi dorośli zesłańcy z lutego 1940 roku „czuli na sobie oddech” roku 1920, a nawet bardziej odległych historycznych zdarzeń — obecności Polaków w Moskwie i — naturalnie — rozbiory. Rosjanie nie należą do narodów o krótkiej pamięci historycznej. Od pokoleń wychowywani są w kulcie władzy, aż po zaborcze zapędy: charakterystyczne pojęcie „wojennych pochodów”. Tam na ogół władza — choćby nie wiadomo

<sup>24</sup> Ks. Franciszek Salezy Korszyński, rektor seminarium we Włocławku, w obozie w Dachau osadzony przez Niemców w 1941, od 1946 biskup pomocniczy włocławski. Wspomnienia obozowe wydał w 1957.

<sup>25</sup> Sołowki — grupa Wysp Sołowieckich, miejsce pierwszych sowieckich łagrów.

## WYRWANE Z PAMIĘCI...

jak silna — nigdy nie jest za mocna, przeciwnie niż u nas — za słaba. Cała ich historia złożyła się na to, wiele nakładających się wzorów mocnej relacji autorytatywnej: dominacji — submisji.



Stanisław Majdański w czasach pracy na KUL

Niekiedy trochę bezmyślnie powiada się, usprawiedliwiając różne negatywy, że „takie były czasy”. Otóż nie, właściwiej byłoby mówić nie o „czasach” (w tym sensie), ale o ludziach: „tacy byli ludzie”, na dobre i na złe czasy — które tworzą, odpowiadając za nie, a właściwie za siebie i innych ludzi. Historia ostatecznie jest dziełem „ludzi wobec ludzi”. Jak się zdaje łatwiej tu o pewien ogólny pesymizm — trudne czasy w sposób naturalny do tego skłaniają — tym niemniej obowiązuje nas w sumieniu, wobec siebie i innych, optymizm. Bez tego niepodobna przeżyć czegoś takiego jak „zsyłka” — bez wiary, nadziei, miłości. To nakazuje nam chrześcijański personalizm, jeśli jest szczerzy, autentyczny. Jestem prawdziwie wdzięczny mojej matce, że umiała, bez „prawienia morałów”, jakichś demonstracyjnych pouczeń, zaszcześcić w nas taką postawę, natchnąć do optymizmu, że



STANISŁAW MAJDAŃSKI

nauczyła nas przetrwać, przeżyć te i inne nieszczęścia. Doprawdy, nie zawsze wiem, jak potrafiła to uczynić. Mogę być tylko wdzięczny za to, że za jej przykładem potrafimy i pamiętać i wybaczać zarazem, choć niełatwa jest ta pozytywna, chrześcijańska postawa.